

rodzina

YGODNIK KATOLICKI

NR 2 (1012) 13 STYCZNIA 1980 R. CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

Pierwszy cud Chrystusa ● Kościół
Polskokatolicki przeciwko eska-
lacji zbrojeń ● Liturgia Kościoła
Polskokatolickiego ● Moja War-
szawa ● Porady



17 STYCZNIA 1980 R.
35 ROCZNICA
WYZWOLENIA
WARSZAWY

O wspomnienia, wspomnienia! O długie powieści,
których dzieckiem słuchałem, płacząc! O Warszawo,
spod uśmiechu mnie zawsze błyskasz twarzą krwawą;
skroś twe gwary szczęk słyszę walk i płacz niewieści”.

Jerzy Żóławski (1874—1915):

„Warszawa” (fragment)



PIERWSZY CUD CHRYSYTA

W czasie swej publicznej działalności Pan Jezus często mówił, że jest Bogiem. Świadczą o tym choćby słowa: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10,30). Przypomniał również swoim słuchaczom, że nauka Jego pochodzi od Boga. Dał temu wyraz, mówiąc: „Nauka moja nie jest moja, lecz tego, który mnie posłał”. (J 7,16). Jednak w sposób najbardziej przekonujący udowodnił swoje Bóstwo oraz boskie pochodzenie nauki jaką głosił, licznymi swoimi cudami. Nic więc dziwnego, że podczas jednego z wielu starć słownych z faryzeuszami, powiedział im otwarcie: „Jeśli nie wykonuję dzieła Ojca mego, nie wierzcie mi; jeśli zaś wykonuję, to choćbyście mnie nie wierzyli, wierzcie uczynkom” (J 10,37-38). Pierwszym cudem zdziałanym przez Syna Bożego, było przemienienie wody w wino na weselu w Kanie Galilejskiej. I to właśnie wydarzenie z życia Chrystusa będzie tematem niniejszego opracowania.

Zakończywszy post czterdziestodniowy powrócił Jezus nad Jordan, gdzie przyłączyli się do Niego trzej pierwsi uczniowie. Byli nimi: Andrzej i Jan, oraz Szymon — nazwany później Piotrem. Bezpośrednio potem udał się Zbawiciel wraz z nimi do Galilei. Tutaj — a miało to miejsce najprawdopodobniej w Betsajdzie — wezwał Chrystus do grona uczniów Filipa, a następnie Natanaela, zwanego również Bartłomiejem. Powołanie tego ostatniego jest dla Ewangelisty, opisującego pierwszy cud dokonany przez Jezusa punktem oparcia, dla ustalenia dokładnej chronologii tego wydarzenia. Kontynuując bowiem swoją relację o początkach publicznej działalności Nauczyciela z Nazaretu, św. Jan pisze: „Trzeciego dnia było wesele w Kanie Galilejskiej” (J 2,1).

Kana Galilejska (dzisiejsze Kefr-Kenna) położona jest 10 km na północny-wschód od Nazaretu, przy drodze wiodącej z Tyberiady do Kafarnaum. „Oparta o wzgórek — jak podaje J. Roztworowski — wznosi się Kana tarasami wśród żyznej, uroczej okolicy podgórskiej. Domy od domów oddzielają pola, otoczone płotami z kaktusu albo rzędami drzew: granatów, oliwek, świętojańskiego chleba. Nieco poza wioską od zachodu leży stara, o trzech korytach studnia, jedyna na całą okolicę, więc zapewne ta, z której woda posłużyła do cudu („Obrazki z życia Zbawiciela”, Kraków 1947, str. 118).

Droga z Betsajdy do Kany Galilejskiej wznosi się stromo pod górę, gdyż jezioro Genezaret położone jest 208 m poniżej poziomu Morza Śródziemnego, zaś miejsce pierwszego cudu Chrystusa usytuowane jest prawie 500 m wyżej. W starożytności istniała jeszcze inna Kana (dzisiejsze Kirbet-Kana), której ruiny znajdują się na północ od Nazaretu. Jednak tradycja chrześcijańska — której wyrazem są liczne pielgrzymki — opowiada się że Kefr-Kenna jest miejscem cudownego przemienienia wody w wino.

Ustaliwszy chronologię opisywanych faktów, przechodzi autor do szczegółowego opisu wydarzenia. Na wstępie stwierdza, że „była tam matka Jezusa” (J 2,1b). Ze słów tych można wnioskować, że Maryję i któregoś z narzeczonych łączyły więzy pokrewieństwa. Z tej racji przyszła tam kilka dni wcześniej, by pomóc niewiastom w przygotowaniach do uroczystości weselnej. Więzy pokrewieństwa były zapewne powodem, że „zaproszono też Jezusa wraz z uczniami jego na to wesele” (J 2,2). Gdy wesele było u Żydów szczególnie ważną uroczystością, połączoną z licznymi obrzędami i radosnymi obchodami. W zależności od zamożności rodziny, trwały od trzech do ośmiu dni.

„Panna młoda — jak pisze G. Ricciotti — wychodziła z rąk ubierających ją przyjaciółek i krewnych ustrojona wspaniale, w wienku na głowie i z umalowaną twarzą. Oczy jej błyszczały od zapuszczonych w nie kropli, włosy i paznokcie były pomalowane, zdobiły ją naszyjniki, mnóstwo bransoletek i innej biżuterii, zwyczaj sztucznej, często pożyczanej. Pan młody również w wienku na głowie, w otoczeniu „przyjaciół narzeczonego” szedł pod wieczór do domu narzeczonej, by przeprowadzić ją do swego mieszkania. Oczekiwała go ona w gronie przyjaciółek, które trzymały zapalone lampy, witając przybywającego oblubienca radosnymi okrzykami. Z domu panny młodej do domu pana młodego wyruszano procesją. Brała w niej udział cała wieś z pochodniami, muzyką, śpiewem, tańcami wśród weselnych okrzyków. Orszak ten cieszył się tak dużą wagą, że nawet rabin przerywali wykłady prawa w swej szkole i wraz z uczniami uświetniali go swoją obecnością” („Życie Jezusa Chrystusa”, W-wa 1954, str. 300).

W domu narzeczonego nowożeńcy stawiali pod baldachimem. Spisywano umowę ślubną, pod osłoną welonu wymieniało, przysięgi, udzielano młodym małżonkom błogosławieństwa, a wreszcie tłuczono obrzędowe naczynie szklane. Następnie rozpoczynała się uczta. Żydzi, którzy lata żyli w bardzo skromnych warunkach, a nawet w niedostatku, z okazji wesel pozwalali sobie na wystawność, a nawet na zbytek. Na stołach biesiadnych był więc



dostatek potraw sporządzonych z mięsa zwierząt domowych, dziczyzny, ptactwa i ryb. Nie zabrakło owoców i słodczy. Wino lało się strumieniami. A było to wino specjalne, od dawna przechowywane na tę uroczystość.

Jednak po pewnym czasie — jeszcze przed końcem przyjęcia weselnego — zaszło coś, co wywołać musiało zakłopotanie gospodarzy. Może nie nadeszło zamówione wino, może zapas wobec zbyt wielkiej liczby gości okazał się za mały, może beczka, na którą liczone było skwaśniała. Bowiem zgromadzeni goście dopijali kielichów, a dzbany były puste. Zabrakło wina.

Maryja, która na wszystko baczną zwracała uwagę, pierwsza zauważyła zakłopotanie gospodarzy i postanowiła temu zaradzić. Przedstawiając tę scenę — niezwykle oszczędny w słowach — Ewangelista pisze: „A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusa do niego: Wina nie mają” (J 2,3). Jej zdaniem powinno to wystarczyć. Tymczasem odpowiadając, „rzekł do niej Jezus: Czego chcesz ode mnie niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (J 2,4). W słowach tych każdy zrozumiałby odmowę, tylko nie Maryja. Zdawała sobie bowiem sprawę, że Syn jej nie odmówił, a tylko zastrzegł sobie wybór stosownej chwili. Nie nadszedł jeszcze widocznie czas, by za pomocą cudów objawił ludziom swoje posłannictwo. Dlatego też matka Jezusa z niezwykłą pewnością zwraca się do służby weselnej, mówiąc: „Co wam powie (Syn mój), czyńcie!” (J 2,5). Rzeźczywiście. Na spełnienie swej prośby nie musiało Maryja długo czekać, zaś jej realizacja przesłała wszelkie oczekiwania.

W przedśionku domu weselnego — jak czytamy w Ewangelii — „było ... sześć stągwi kamiennych, ustawionych według żydowskiego zwyczaju oczyszczenia, mieszczących w sobie po dwa lub trzy wiadra” (J 2,6). Jak wynika z przytoczonego tekstu, znajdująca się w nich woda przeznaczona była do rytualnych obmywań rąk i naczyni, nakazanych przez przepisy starozakonne. Były to stągwie kamienne, gdyż kamień — według opinii uczonych żydowskich — nie przyjmował tak łatwo nieczystości. Wszystkie razem pomieścić mogły około 600-700 litrów wody. Biesiadnicy czerpali z nich wodę i polewając, obmywali swoje ręce lub naczynia. Ponieważ jednak uczta się przeciągnęła a gości było dużo, wszystka woda została już zużyta i stągwie stały puste.

Wezwał więc Jezus służących i rzekł do nich: „Napełnijcie stągwie wodą!” (J 2,7). Stosownie do polecenia biegali oni zapewne kilkakrotnie do pobliskiej studni lub cysterny, zanim naczynia były pełne. Rzekł do nich Chrystus ponownie: „Zaczerpnijcie teraz i zaniescie gospodarzowi weseła! A oni zanieśli!” (J 2,8). Gdy więc gospodarz zobaczył tak wiele wina i skosztował go (a należało to do jego obowiązków), zdziwił się bardzo. Z wyrzutem rzekł więc do oblubienca: „Każdy człowiek podaje najpierw dobre wino, a gdy sobie podpiją, wtedy gorsze; a tyś dobre wino zachował aż do tej chwili!” (J 2,10). W słowach gospodarza wesela nie należy doszukiwać się jakiegoś zwyczaju w tym względzie. Dał on po prostu wyraz swemu zdziwieniu z powodu niezwykłej jakości i obfitości wina, i to pod koniec uczty weselnej. Niemniej zapewne zdziwił się oblubieniec, który nawet nie myślał o tym, by dobre wino — jako niespodziankę — zachować na koniec przyjęcia weselnego. Najprawdopodobniej dopiero rozmowa ze służbą wyjaśniła, że sprawcą tej „niespodzianki”, był Jezus z Nazaretu.

Ewangelista nic nie mówi o tym, jak na wiadomość o niezwykłym wydarzeniu zareagowali zgromadzeni na weselu goście. Można jednak przyjąć, że zmusiło ich to do zastanowienia odnośnie osoby Chrystusa. Z tekstu Ewangelii jednak wynika, że zamierzony przez Zbawiciela cel został osiągnięty. Kończąc bowiem swoją relację stwierdza autor, że przez ten cud Syn Boży „objawił chwałę swoją, i uwierzyli weń uczniowie jego” (J 2,11). A o to przecież chodziło.

Przyjmuje się powszechnie, że Pan Jezus przybył na to wesele, by — swoją obecnością oraz pierwszym cudem — uświetnić ustanowiony przez Stwórcę związek dwojga ludzi. I była to wielka łaska wyświadczona nowożeńcom z Kany Galilejskiej.

Jezus Chrystus podniósł małżeństwo do godności sakramentu. Zaś według nauki św. Pawła, związek ten — „to wielka tajemnica, ale ja odnoszę to do Chrystusa i Kościoła” (Ef 5,32). Przez połączenie Chrystusa z Kościołem spływają na tę instytucję liczne łaski Boże. Podobnie chrześcijańscy małżonkowie — połączeni dożgonnym węzłem — otrzymują przez sakrament małżeństwa potrzebne łaski i siły, do godnego wypełniania obowiązków, jakie biorą na siebie.

Kościół Polskokatolicki przeciwko eskalacji zbrojeń

My, biskupi, kapłani i wierni Kościoła Polskokatolickiego, dołączamy swój głos do powszechnego protestu Polaków, narodów i wszystkich ludzi walczących o pokój, przeciw produkcji i rozmieszczeniu broni rakietowo-nuklearnej w Republice Federalnej Niemiec, Anglii i Włoszech.

Eskalacja zbrojeń stawia nas wobec widma jeszcze straszliwszej wojny, aniżeli II wojna światowa, która spowodowała śmierć milionów ludzi, ogromne szkody moralne i materialne. Wojna ta w szczególny sposób dotknęła nasz naród i kraj.

W obliczu grożącego niebezpieczeństwa nuklearnego i w obronie elementarnych praw narodów, w poczuciu naszego chrześcijańskiego obowiązku, zwracamy się z gorącą prośbą do biskupów, kapłanów i wiernych Kościołów Starokatolickich Unii Utrechckiej w Europie, Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanadzie, aby wspólnie z Polonią przeciwstawili się — zgodnie z zasadami etyki chrześcijańskiej — produkcji nowej broni masowej zagłady i jej rozmieszczeniu w krajach Europy Zachodniej. Naszym wspólnym, świętym obowiązkiem jest bronić życia, a przeciwstawiać się temu wszyst-

kiemu, co w to życie godzi. Szczególnie zaś prosimy naszych biskupów w Stanach Zjednoczonych A.P. i w Republice Federalnej Niemiec, aby nie tylko przekazali nasz głos swoim rządóm, ale robili wszystko, by ta niebezpieczna decyzja NATO nigdy i nigdzie nie była zrealizowana.

Z uznaniem przeto przyjęliśmy odrzucenie przez Parlament Holenderski decyzji Rady Ministerialnej NATO w sprawie rozmieszczenia w niektórych państwach Europy Zachodniej tej okrutnej broni masowej zagłady.

Prosimy też rządy państw i mężów stanu, aby międzynarodowe sprawy sporne były rozstrzygane na drodze rokowań i pokojowych układów, a nie z pozycji siły.

Wszystkim ludziom walczącym o pokój pragniemy przypomnieć słowa Zbawiciela Jezusa Chrystusa: „Błogosławieni pokoj czyniący, albowiem, oni synami Bożymi nazwani będą” (Mt 5,9).

Warszawa, dnia 12 grudnia 1979 roku.

Za Prezydium Rady Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego w PRL:

† **Bp Tadeusz R. MAJEWSKI**
Przewodniczący Rady Synodalnej

† **Bp Jerzy SZOTMILLER**
Sufragan Warszawski

Ks. doc. dr Edward BAŁAKIER
Skarbnik Rady Synodalnej

Ks. infułat Wiesław SKOŁUCKI
Administrator Diecezji Wrocławskiej

Ks. mgr Tomasz WOJTOWICZ
Dziekan Dekanatu Warszawskiego

† **Bp Dr Maksymilian RODE**
Profesor w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej

Ks. Wiktor WYSOCZAŃSKI
Sekretarz Rady Synodalnej

Ks. infułat Antoni PIETRZYK
Administrator Diecezji Krakowskiej

Dr Jan MAŁUSZYŃSKI
Prezes Zarządu Głównego
Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików

K

iedy — po powrocie z Egiptu — Józef i Maryja osiedlili się w Nazarecie, Jezus liczył zapewne około dwóch lat. Od tej chwili aż do rozpoczęcia przezeń publicznej działalności upłyne prawie lat trzydzieści, który to okres nazywany jest powszechnie „życiem ukrytym” Chrystusa. O tym długim okresie w życiu Boga-Człowieka nie posiadamy jednak prawie żadnych szczegółów poza lakonicznym stwierdzeniem św. Łukasza: „*Dziecię roste i nabierało sił, było pełne mądrości, i łaska Boża była nad nim*” (Łk 2,40). Jeden tylko epizod z tych czasów przekazany został przez

Ewangelistę opisującego dziecięce lata Zbawiciela, a miał on miejsce w dwunastym roku życia Chrystusa. Wydarzenie to, związane z doroczną pielgrzymką do świątyni jerozolimskiej, jest tematem tego opracowania.

Opowiadanie św. Łukasza rozpoczyna się od stwierdzenia, że rodzice Jezusa „*chodzili co roku do Jerozolimy na święto Paschy*” (Łk 2,41). Czciociele bowiem Jahwe trzy razy w roku odbywali pielgrzymki do świątyni jerozolimskiej: na uroczystość Paschy, na dzień Pięćdziesiątnicy i na święto Namiotów, noszące nazwę „uroczystości pielgrzymich”. Taki był nakaz prawa starozakonnego. Jednak do ścisłego zachowania tego wymogu obowiązani byli jedynie mieszkańcy Judei. Wszyscy inni — a więc Galilejczycy oraz Żydzi mieszkający poza Palestyną — odbywali pielgrzymkę raz do roku na obchody święta Paschy.

Przepisem prawa objęci byli tylko mężczyźni. Kobiety i dzieci nie musiały odbywać tej religijnej podróży. Wiele jednak kobiet dobrowolnie towarzyszyło swoim mężom. Bardziej zaś pobożni



DWUNASTOLETNI JEZUS W ŚWIĄTYNI

rodzice zabierali również swoje dzieci, chociaż nie miały jeszcze ustalonego przez prawo wieku.

Rabini wywodzący się ze szkoły Szammaja twierdzili, że do świątyni przynosić można tylko takie dzieci, które potrafią utrzymać się na plecach ojca. Wywodzący się natomiast ze szkoły Hillela pozwalali zabierać z sobą jedynie dzieci zdolne wejść po stopniach świątyni, prowadzone przez ojca za rękę. Niemniej jednak — czy to na barkach swoich ojców, czy też na własnych nogach — wielu chłopców szło z pielgrzymami do Jerozolimy. Nic więc dziwnego, że w miarę zbliżania się do „świątyni miasta”, tłumy pątników coraz bardziej rosły i potężniały.

Pielgrzymi idący z daleka (a więc i ci z Nazaretu), łączyli się w grupy złożone z krewnych i znajomych, tworząc jakby niewielkie karawany, które razem szły i nocowały podczas całej podróży. A ponieważ droga z Nazaretu do Jerozolimy wynosiła około 120 km, zatrzymywano się na postoje połączone z noclegami trzy lub cztery razy. Przez cały czas pątniczej wędrówki śpiewano psalmy, które w miarę zbliżania się do „świątego miasta” brzmiały coraz radośniej. Zamieniały się wreszcie w okrzyki dumy i zachwyty na widok świątyni Pańskiej.

Jezus towarzyszył prawdopodobnie Maryi i Józefowi już w poprzednich latach. Jednak opowiedziane przez Ewangelistę wydarzenie miało miejsce, gdy Zbawiciel ukończył lat dwanaście. Czytamy bowiem: „*Gdy (Jezus) miał dwanaście lat, poszli do Jerozolimy na to święto, jak to było w zwyczaju*” (Łk 2,42). W tym bowiem wieku każdy Izraelita stawał się „synem Prawa”. Od tej chwili podlegał wszystkim drobiazgowym jego przepisom, a jeżeli je przekroczył, podlegał przewidzianym karom. Dla wypełnienia przepisu prawa udał się Chrystus do świątyni jerozolimskiej, by przez cały tydzień uczestniczyć w przepisanych obrzędach i oddać cześć Bogu w miejscu świętym.

Obchody święta Paschy rozpoczynały się 14 dnia miesiąca Nisan, kiedy to na dziedzińcu świątyni zabijano baranka wielkocznego. Napływ pielgrzymów sprawiał, że ofiary te trwały przez całe popołudnie, gdyż liczba osób zasiadających do wieczerzy paschalnej nie mogła przekraczać dwudziestu. Następnie — po upieczeniu na rożnie — spożywano go wraz z niekwaszonym chlebem oraz gorzkimi ziołami i czerwonym sosem sporządzonym według starodawnego przepisu. Dzień 15 Nisan — kiedy miały miejsce główne uroczystości — spędzali pielgrzymi w świątyni, towarzysząc obrzędowi religijnym. Następnego dnia składano ofiarę z pierwszych kłosów jęczmienia.

Kiedy wreszcie nadszedł czas powrotu stało się coś, czego Maryja i Józef najmniej się spodziewali. Albowiem „*zostało dziecię Jezus w Jerozolimie, o czym nie wiedzieli jego rodzice*” (Łk 2,43). Nasuwa się pytanie, jak to było możliwe? Rzecz wyjaśnia G. Ricciotti, gdy pisze: „*Karawana na Wschodzie posiada swoje prawa... Każdy jej członek dostosowuje się do czasu wyruszenia karawany i do czasu przybycia jej do celu, ale poza tym ma dość dużą swobodę. W drodze podróżni dzielą się na grupki, które idą w pewnym oddaleniu jedna od drugiej... Jedynie wieczorem, gdy karawana dotrze na miejsce noclegu, wszyscy zbierają się znowu razem. Chłopiec w wieku lat dwunastu... miał pełne prawa do korzystania ze swobody w podróży, i to jeszcze większe niż mężczyzna dorosły, bo poza przyjętymi zwyczajami uwzględniano właściwą jego wiekowi ruchliwość i żywotność*” (*Życie Jezusa Chrystusa*, Warszawa 1954, str. 280).

Nie można posądzać Maryję i Józefa o obojętność o losy Jezusa. Albowiem — jak relacjonuje św. Łukasz — „*mniemając,*

iz jest (On) postroa paroznych, uszu dzien arogi” (Łk 2,44). Dopiero kiedy przybyli na miejsce pierwszego postoju (według lokalnej tradycji miała nim być miejscowość el-Lubban, położona na pograniczu Judei i Samarii), „*szukali go między krewnymi i znajomymi*” (Łk 2,44). Niestety bezskutecznie.

W tej sytuacji — kiedy inni nazaretańscy ruszyli w drogę do Galilei — Maryja i Józef zatroskani „*wrócili do Jerozolimy, szukając go*” (Łk 2,45). Po drodze miały ich inne karawany. Wypytywali wszystkich — na próżno. I dopiero „*po trzech dniach znaleźli go w świątyni, siedzącego, wśród nauczycieli, słuchającego i pytającego ich*” (Łk 2,46). Miało to miejsce w kruzganku Salomona lub Królewskim, gdzie uczeni w Piśmie i doktorowie Prawa odpowiadali na zadawane im przez pielgrzymów pytania i rozstrzygali ich wątpliwości. Dwunastoletni Jezus — uczestniczący w dyspucie — nie tylko sam zadawał pytanie, ale również odpowiadał na wątpliwości wysuwane przez innych. Udział zaś nieznanego młodzieńca wzbudził nie tylko zainteresowanie, ale — jak to stwierdza Ewangelista — „*zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, nad jego rozumem i odpowiedziami*” (Łk 2,47). Nie wiedzieli bowiem, że pośród siebie mają Syna Bożego. Również Maryja i Józef, którzy zapewne do końca przysłuchiwali się dyskusji religijnej, „*ujrzawszy go, zdziwili się*” (Łk 2,48). Wiedzieli oni wprawdzie, że Jezus jest Synem Bożym. Jednak w szarzyźnie dnia powszedniego nie dostrzegali w tym chłopcu nic niezwykłego, gdyż boska mądrość kryła się pod zasłoną człowieczeństwa.

Maryja, jak na matkę przystało — zapewne już po zakończeniu dysputy z uczonymi, a więc po cichu i prywatnie — zwróciła się doń, i rzekła: „*Synu, cóżes nam to uczynił? Oto ojciec twój i ja bolejąc szukaliśmy ciebie*” (Łk 2,48). Słowa te nie były żadną wymówką. Wyrażały raczej wielką miłość matczynego serca i jej ból z powodu straty dziecka, a zarazem radość ze szczęśliwego odnalezienia go. W odpowiedzi zaś usłyszeli: „*Czemuście mnie szukali? Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę?*” (Łk 2,49). Odpowiedź Jezusa — będąca pierwszymi Jego słowami przekazanymi przez Ewangelię — wyjaśnia sens całego wydarzenia. Wynika z niej, że chociaż na pewien czas uczynił się zależnym od swych ziemskich opiekunów, przecież zawsze czuł się Synem Bożym. Przypomniał Maryi i Józefowi, że jedyną racją Jego przyjścia na świat i całego życia ziemskiego, jest chwała Ojca niebiańskiego oraz wypełnianie Jego woli. Wolę tę pragnie wypełniać On zawsze, choćby Go to kosztowało wiele zaparcia i pokonania nawet najbardziej szlachetnych uczuć względem ludzi, którzy zapewni Mu opiekę na tym świecie. Jednak — jak stwierdza Ewangelista — „*oni nie rozumieli tego słowa, które im mówił*” (Łk 2,50). Nie pojmowali, jakie to sprawy Ojca niebiańskiego ma Jezus wypełnić i w jaki sposób uczyni im zadość. Jednak przez szacunek nie pytali Go o to.

W słowach Jezusa dwunastoletniego: „*Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę?*” (Łk 2,49), zawarte jest przypomnienie dla każdego chrześcijanina. Przypomnienie, że obowiązkiem naszym — jako wyznawców Chrystusa — jest czynne angażowanie się w sprawy Boga i Jego chwały, Kościoła i jego rozwoju oraz naszej duszy i jej zbawienia. Każdy z nas powinien odpowiedzieć sobie, jak do tej pory wywiązywał się z tego obowiązku.

Ks. J.K.

Jubileusz 30-lecia parafii Św. Trójcy PNKK



Przemawia bp Józef Niemiński

W sobotę, 13 października 1979 r. spora część społeczności polonijnej Hamiltonu uczestniczyła w podniosłej uroczystości jubileuszu 30-lecia istnienia i działalności parafii Św. Trójcy Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego.

Z tej okazji, w pięknym kościele pw. Św. Trójcy — odprawione zostało nabożeństwo

dziękczynne przez proboszcza tej parafii ks. Zygmunta Pióro, w asyście ks. Jerzego Urbańskiego, administratora misji PNKK w Scarborough (Metropolia Toronto) i w obecności bpa Józefa Niemińskiego, ordynariusza kanadyjskiej diecezji PNKK. Podczas nabożeństwa kościół wypełniony był wiernymi po same brzogi. W kazaniu uwypuklone zostały najpiękniejsze epizody z życia parafii, nie zapomniano także o trudnościach, na jakie napotyka każda młoda społeczność.

Po nabożeństwie odbył się bankiet w sali parafialnej, do której przeszli wszyscy z kościoła. Duża sala parafialna nie była w stanie wszystkich pomieścić za stołami. Zaszła więc konieczność dostawiania stołów i krzeseł. Świadczy to o tym, że bardzo duża liczba parafian pragnęła wziąć udział w święcie swej parafii.

Przyjęciu bankietowemu przewodniczył p. Antoni Mastela, przewodniczący komitetu parafialnego. Po wstępnym powitaniu zebranych Przewodniczący nakreślił dzieje 30-lecia parafii, wskazując na szereg pięknych wydarzeń, imprez i uroczystości. W imieniu wszystkich współwyznawców wyraził słowa pra-

wdziwej dumy z osiągnięć i zgodnego współzycia z resztą społeczności polonijnej w Hamilton.

Po tym przemówieniu, chór parafialny wykonał, po hymnach narodowych, trzy piękne pieśni nagrodzone rzesistymi oklaskami zebranych.

Po tej uroczystej części bankietu, nastąpiła kolacja poprzedzona odmówieniem modlitwy przez ks. J. Urbańskiego. W czasie kolacji wzniesiono toast za dalszą pomyślność parafii Św. Trójcy i jej proboszcza. Tak się szczęśliwie złożyło, iż z jubileuszem parafii wypadł jubileusz 10-lecia probostwa ks. Zygmunta Pióro. Kapłan ten włożył, przez minione 10 lat, w życie parafii wiele pozytywnego czynnika i duchowych wartości. Zasłużone więc były te wszystkie gratulacje i powinszowania, jakie skierowano pod jego adresem.

Przewodniczący bankietu nie omieszkał także przedstawić osoby głównego stołu, za którym siedzieli: ks. bp Józef Niemiński, ks. Jerzy Urbański, J. Góral z Oakville, przewodniczący komitetu parafialnego tamtejszej parafii św. Szczepana Męczennika, poseł do Izby Ustawodawczej z hamiltonskiego okręgu

Mike Davison, państwo Buszowscy, najstarsi parafianie hamiltonskiej wspólnoty oraz delegacja parafii PNKK z Oshawa.

Główne okolicznościowe przemówienie wygłosił bp J. Niemiński. Biskup, jeden z inicjatorów i założycieli hamiltonskiej parafii, wraz z kilkoma innymi osobami hamiltonskiej Polonii kładł fundament pod parafię Św. Trójcy, która doczekała się pięknego jubileuszu. Ks. Biskup wspominał trzech działaczy, którzy pomagali w tworzeniu parafii, dziś już zmarli: Waclaw Daca, Stanisław Eochenek i J. Klos. Oni to, oraz szereg innych, szczerze pracowali dla swej parafii i włożyli wiele wysiłku w jej rozwój.

Bp J. Niemiński złożył też gorące życzenia proboszczowi, życząc mu szczęśliwego i pomyślnego dla PNKK i Polonii w Hamilton duszpasterzowania i owocnych wyników w pracy kapłańskiej.

Za serdeczne słowa, za liczny udział w obchodzie jubileuszowym, dziękował wszystkim obecnym oraz komitetowi parafialnemu i tym, którzy przyczynili się do bankietu, proboszcz ks. Zygmunt Pióro.

Reszta wieczoru minęła na miłej zabawie tanecznej i rozmowach przy stolikach.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (417)

J wie, apostołowie, autorzy ewangelii, dodając Mu zdolność czynienia cudów, prorokowania, własnego zmartwychwstania i wreszcie wniebowstąpienia. Uczynili Go też Bogiem. Strauss napisał jeszcze szereg prac, również na nowo opracował życie Jezusa, do czego przyczynił się rozgłos książki Renana — *Vie de Jesus*, czyli *Życie Jezusa*. Nowa praca Straussa o Jezusie, ujęta bardzo popularnie i zwięźle pt. *Leben Jesu fuer das deutsche Volk bearbeitet* (1865), czyli *Życie Jezusa opracowane dla narodu niemieckiego* w zasadzie nie zmienia podstawowych tez Straussa, chociaż wyraża je nieco oględniej i kulturalniej. Strauss nie uznał bóstwa Jezusa, jednak przyjął Jego istnienie. (Strauss zmarł w 1874 r. jako materialista i ateista).

Ernest Renan (ur. 1823, zm. 1892) urodził się w katolickiej rodzinie francuskiej i był uczniem oraz wychowankiem arcybiskupa rzymskokat. Dupanloup, który chciał, aby jego wychowanek został księdzem. Został filozofem i filologiem i to takiej miary, że został członkiem Akademii Francuskiej. Napisał książkę pt. *Vie de Jesus*, czyli *Życie Jezusa*. Z kart tej biografii jawi się jednak nie Chrystus Bóg, a Jezus człowiek, nauczyciel, filozof. Renan odrzucił bóstwo Chrystusa, nazwał Go jednak „największym człowiekiem, jaki istniał”, oraz stwierdził, że „wszystkie wieki będą świadczyły, iż w całym plemieniu ludzkim człowiekiem największym był Jezus”.

Adolf Harnack urodził się w 1851 roku w Dorpacie jako syn teologa protestanckiego. Już w 1876 r. został profesorem w Giesenie, potem w Marburgu, następnie w Berlinie. W 1890 r. został członkiem pruskiej Akademii Nauk. Zdobył sławę jako badacz literatury i dziejów starożytności. Napisał szereg dzieł. Zmarł w 1930 r. (→ Harnack). W wyniku długoletnich studiów mimo swojego liberalnego nastawienia, bronił nawet historyczności i autentyczności ewangelii. „I — jak stwierdza ks. dr E. Dąbrowski — jeżeli nawet udało mu się ostatecznie obronić ewangelie Marka i znaczną część ewangelii Mateusza i Łukasza (Logia) — to na czwartą ewangelie patrzył oczami najbardziej uprze-

dzonych krytyków radykalnych. Ale nawet w oparciu o taką dokumentację można się było pokusić o historyczną rekonstrukcję przeszłości, gdyby nie przesąd, który nad liberalizmem zaciążył fatalnie, zagradzając mu drogę do należytej interpretacji uznanych za wiarygodne dokumentów. Chodzi o zagadnienie proroctw i cudów w ewangeliiach. W myśl założen uznanych za bezsporne przez Straussa, jak i Renana, Harnack oświadczył się również przeciw opisom cudów ewangelicznych. Z kłopotliwej sytuacji przyjęcia z jednej strony wiarygodności ewangelii, a odrzucenia cudów z drugiej, pozwalała mu wyjść szczególna interpretacja, według której całe otoczenie Jezusa było nasycone nadprzyrodzonością. Poczytywano za cuda objawy czysto naturalne, skutki duchowego oddziaływania Jezusa, a niekiedy, w najlepszej zresztą myśli, przypisywano Mu zdarzenia znane z proroctw Starego Testamentu. Jak widać z powyższego, Harnack nie gardził mistycyzmem Straussa, ani naturalizmem Renana... Chrześcijaństwo w jego ujęciu nie ma charakteru chrystocentrycznego: Jezus nie należy do jego istoty, ale stoi od niego w pewnym oddaleniu — tylko jako Nauczyciel i Mistrz... Stosunek Jezusa do chrześcijaństwa pojmować trzeba na sposób stosunku Sokratesa do sokratyzmu. Harnack lubi takie porównania i nawet książkę swoją zaopatrzył na wstępie cytatem ze Stuarta Milla, że „nie można dosyć przypomnieć ludzkości o tym, że kiedyś istniał Sokrates. Ważniejszym jest jeszcze ustawiczne przypominanie, że ludzkość wydała niegdyś Jezusa Chrystusa. Człowiek, na którym spoczął odblask Jego światła, nie zostaje nigdy tym samym, co przedtem” (zob. dz. cyt. wyżej, s. 15 i nn.).

Można by tu jeszcze wymienić szereg nazwisk, które łączą się z problemem historyczności Jezusa. Leczą, podobnie jak to pokrótce wyżej scharakteryzowano odnośnie do Straussa, Renana i Harnacka, zarówno ci ostatni, jak i inni, wcale nie kwestionowali, ani nie kwestionują im współczesności, rzeczywistego istnienia Jezusa. Uważali, i im podobni dzisiaj uważają, że Jezus istniał, żył na Ziemi, ale był tylko człowiekiem. Mitem — według nich — jest Jezus



Z obrad Międzynarodowej Konferencji Teologów Starokatolickich w Altenbergu

Tematem Konferencji Teologicznej odbytej w roku 1979 — już dwudziestej z rzędu w ramach inicjatyw podjętych w 1950 r. w Holandii — była teologia modlitwy eucharystycznej, tj. centralnej części uroczystości Mszy św. i liturgii chrześcijańskiej w ogóle. Jest to temat stale aktualny: w całym chrześcijaństwie dokonuje się rewizji starych i dostojnych sformułowań modlitwy eucharystycznej lub „kanonu”; powstają nowe wersje lub nawet całkiem nowe modlitwy eucharystyczne, członkowie parafii bywają często konfrontowani z dopuszczonymi oficjalnie lub organizowanymi prywatnie eksperymentami. Wobec wielu takich propozycji powstaje pytanie, co jest użyteczne i słuszne z punktu widzenia teologii starokatolickiej i badań liturgiki nad początkami nabożeństwa chrześcijańskiego? Jaki wkład może wnieść nasz Kościół do tych ekumenicznych wysiłków na rzecz odnowy modlitwy eucharystycznej?

Pytania te interesowały 40 uczestników z Holandii, Szwajcarii, Austrii, Polski, RFN i NRD którzy w dniach od 24 do 28 września 1979 r. zgromadzili się w Altenbergu (Haus Altenberg). Oprawę dla nabożeństwa, rozmów i spotkań tworzył wspólnie kościół pocysterski („katedra altenburska”, od przeszło stu lat symbol jedności, gdyż odbudowano ją z rozporządzenia króla pruskiego dla jednoczesnego użytkowania przez oba wielkie wyznania), nowoczesnie wyposażony ośrodek konferencyjny ruchu młodzieży rzymskokatolickiej, który przyjął nas w duchu gościnności, i piękny krajobraz krainy Berg (Bergisches Land), położonej 30 km od Kolonii.

Pierwszego wieczoru ks. Klemens Haas z Lipska złożył ciekawe sprawozdanie z pracy kapłana w sytuacji skrajnej diaspory i w nieprzystępnym dla Kościoła środowisku. Mimo wszelkich trudności były to słowa nadziei. Arcybiskup Utrechtu, Marinus Kok, poinformował o ostatnim posiedzeniu Konferencji Biskupów w Polsce i odpowiadał na pytania uczestników.

Pierwszy z czterech głównych referatów wygłosił prof. dr Hans — Joachim Schultz z Wurzburga. Ten nadzwyczajny znawca liturgii wschodniokościelnych i zaangażowany ekumenista dokonał historycznego przeglądu uroczystości eucharystycznej, z której wykrystalizowały się dwie linie: forma pochodząca z Antiochii, do której zaliczają się modlitwy eucharystyczne Kościoła wschodniego, wersja poświadczona przez Hipolita w Rzymie i przypusz-

cznie pierwotna forma liturgii gallikańskich i hiszpańskich, oraz struktura aleksandryjskorzymska, która być może używano też w Afryce północnej. Pierwsza charakteryzuje się jednolitą, prostą budową: część pierwsza składa się z dziękczynienia i pochwały, a kończy słowami ustanowienia; dalej następuje przypomnienie („anamneza”), właściwe centrum modlitwy eucharystycznej, które przechodzi w prośbę o poświęcenie i przyjęcie darów i komunikantów, aby zakończyć się wielbieniem („doksologia”) i Amen wiernych. W formie tej istnieje prośba o poświęcenie w „epiklezie”, tj. w prośbie o zejście Ducha Świętego. Forma aleksandryjsko-rzymska ukazuje z jednej strony rysy archaiczne, które niektórzy badacze interpretują jako pokrewieństwo z „Didache”, starochrześcijańska „Nauka 12 apostołów” z drugiej strony między podziękowanie a słowa ustanowienia wstawiono pierwszą prośbę o pobłogosławienie darów, która kończy się prośbą o Ducha Świętego. Właściwa prośba o poświęcenie. która także tutaj następuje po anamnezie, występuje w kanonie rzymskim nie w modlitwie o zesłanie Ducha Świętego, lecz o przyjęcie darów w niebiańskiej świątyni przez „świętego anioła”, tj. Chrystusa.

Autor tego sprawozdania podsumował w swoim referacie różne stanowiska Kościoła starokatolickiego wobec teologii eucharystii, jak to zostało wyrażone w Bońskich Konferencjach Unijnych. Deklaracji Utrechckiej i w dziełach biskupów E. Herzoga, U. Kurva i A. Rinkla: uroczystość eucharystyczna w Kościele nie jest powtórzeniem jednorazowej ofiary na krzyżu, lecz skutecznym jej przypomnieniem („anamneza”) i uaktualnieniem wiecznej ofiary arcykapłana Jezusa w niebie (Hebr 9). W uroczystości eucharystycznej „przedstawiamy Go” Bogu, tzn. nie składamy Go Bogu w ofierze, lecz prezentujemy Go Bogu i dajemy się włączyć w Jego ofiarę.

Dlatego udział w Komunii polega w istocie na tym, że zaczyna w nas działać ofiara Chrystusa i staje się przez to teraźniejszością.

Ks. dziekan dr Sigisbert Kraft zbadał szereg współczesnych modlitw eucharystycznych, którymi posługują się Kościoły starokatolickie, a także rzymskokatolickie, anglikańskie i ewangelickie, ukazał wspólne linie pracy w dziedzinie odnowy liturgii i zakończył propozycją, aby wszystkie Kościoły Unii Utrechckiej podjęły próbę przedłożenia tekstu modlitwy eucharystycznej, który mógłby stać się dla nich węzłem łączącym a także być przyjęty przez inne Kościoły chrześcijańskie.

Prof. dr Herwing Aldenhoven z Berna ukazał duchowe konsekwencje struktury modlitwy eucharystycznej: jednolita forma Hipolita jest bardziej przystępna, bowiem nie zawiera wstawek przerywających koncentrację i wyraźnie ukazuje ważną rolę Ducha Świętego. Istotnym stwierdzeniem jego referatu było to, że wyrażenie „prosperein”, „offerimus” nie znaczą w użyciu starochrześcijańskim „ofiarować”, lecz posługiwanie się przez Kościół w uczcie eucharystycznej chlebem i winem. Takich słów nie da się przetłumaczyć wyrazami pochodzącymi ze „słownictwa ofiarowego”, lecz np. przez „podajemy Ci”, „przychodzimy przed Twoje oblicze z tymi darami” itp.

Dyskusja w grupach i jej podsumowanie na plenum ukazały wyraźnie, jak wielką była osiągnięta zgodność poglądów: starych modlitw eucharystycznych, jak starokatolickie wersje E. Herzoga i A. Thürlingsa ze Szwajcarii i Niemiec, nie należy modernizować, lecz tylko poprawić językowo tam, gdzie jest to niezbędne. Struktura Hipolita winna zawierać nową modlitwę, lecz trzeba ją wzbogacić myślami tradycji zachodniej, tak aby charakter liturgii zachodniej był wyraźny; inni wypowiadali się za

dwoma modelami — według Hipolita i według kanonu rzymskiego. W każdym razie część dziękczynna i prośba po epiklezie winny być zmienne. Słowa ustanowienia i doksologia winny mieć jednolitą wersję dla wszystkich modlitw eucharystycznych jednego obszaru językowego. Wszyscy zaakceptowali ideę opracowania modlitwy eucharystycznej dla Unii Utrechckiej; nie byłaby to jedyna używana modlitwa, ale dawałaby wyraz jedności. Kościół Starokatolicki Szwajcarii wykonał już w tej dziedzinie znakomitą pracę przygotowawczą. W ten sposób można mieć nadzieję na zbliżenie się do ideału ekumenicznej modlitwy eucharystycznej opartej na starochrześcijańskiej bazie.

Od trzech lat istnieje w Altenbergu dom w którym młodzi ludzie, byli członkowie znanych „sekt młodzieżowych”, mogą w atmosferze chrześcijańskiej znaleźć schronienie. O tych doświadczeniach poinformowali rektor Pilz i jego współpracownik M. Blachmann, którzy wzbudziły wielkie zainteresowanie z powodu relacjonowanej tematyki i sympatię z racji swojej inicjatywy. Ks. Gerhard Hage — b. duchowny parafii ewangelickiej w Altenbergu i przewodniczący Bractwa Michała oprowadził uczestników w interesujący sposób po katedrze altenburskiej. Ekumeniczne nieszpory z Ewangelickim Bractwem Michała i zaraz potem odbyta rozmowa służyły wzajemnemu poznaniu się, ale także pogłębieniu świadomości, że obie strony winny się za siebie modlić.

KS CHRISTIAN OYEN



Polacy na Antarktydzie

Trzecia wyprawa antarktyczna Polskiej Akademii Nauk, licząca 70 osób, zakończyła działalność na wyspie Króla Jerzego i wróciła do kraju na statku m.s. „Antoni Garnuszewski”, pozostawiając na wyspie 20-osobową załogę, która kontynuować będzie badania przez okres 9-miesięcznej zimy.

Polska ma już ponad 100-letnie tradycje w badaniach polarnych. Zaczęły się one w drugiej połowie ubiegłego wieku, między innymi udziałem Arctowskiego i Dobrowolskiego w wyprawie statku „Belgica” w rejon Antarktyki. Nazwiska Czekanowskiego, Czerskiego, Arctowskiego czy Dobrowolskiego pozostaną na zawsze w historii badań polarnych. Polska brała też udział w badaniach II Roku Polarnego w latach 1932—33. Po wojnie wznowiono polskie badania polarne w 1956 r., ale z prawdziwym rozmachem Polska weszła do nich dopiero 1970 r. Polska pozycja w badaniach polarnych, choć skromna liczbowo w stosunku do innych państw, jest znacząca jakościowo i licząca się w świecie.

Stacja im. H. Arctowskiego leży w pięknym i ciekawym miejscu. Wyspa położona jest blisko zarówno Ameryki Południowej, jak i kontynentu Antarktydy. Dostęp do niej łatwy jest przez całe lato, w przeciwieństwie do stacji leżących na Antarktydzie, do której bez lodołamacza trudno jest się dostać nawet przy obecnym poziomie techniki.

Fiord Admiralicji, nad którym leży stacja, ma 131 km, długość linii brzegowej wynosi 87 km, z czego 46 km to lodowce spływające do wód fiordu, a 41 — to skaliste wybrzeże. Na skałach rozwija się tundra — wspaniałe łąki porostów i mchów, a w miejscach, gdzie utworzyła się już warstwa gleby — rosną trawy i byliny. Stwarza to swoistą mozaikę kolorystyczną — zieleń roślin kontrastuje tu z bielą lodowców i czernią skał.

Latem rozkładają się tu kolonie pingwinów. Po odchowaniu młodych opuszczają ląd, zmieniając się w pływaków morskich na następne 9 miesięcy. Tegoroczne badania polskiej ekspedycji stwierdziły, że w rejonie fiordu Admiralicji założyło gniazda ok. 36 tysięcy par pingwinich.

Kompleksowe badania tych okolic rozpoczęte w 1977 roku pod kierunkiem doc. dr. hab. S. Rakusy-Suszczewskiego, mają dać odpowiedź na temat krążenia materii w ekosystemie. Programem swym Polska wyprzedziła o trzy lata organizowany w Antarktyce w latach 1980 — 1985 międzynarodowy program

BIOMAS — pod egidą SCAR (Międzynarodowej Organizacji do Spraw Badań Antarktyki).

Antarktyka — wbrew mniemaniom — nie jest pusta. Kwitnie na niej życie. Najwięcej jest słońi morskich. Około 250 fok wedlelekk przebywa tu na stałe od grudnia do lutego, z tym, że pod koniec lata jest ich coraz mniej. Pojawiają się też lamparty morskie, czyniąc spustoszenie wśród pingwinów wypływających na żer. Pod koniec lata zjawiają się uchutki o pięknym futrze, będące pod ochroną. Od czasu do czasu do fiordu wpływają wieloryby. Jest tu również 25 gatunków ryb, a więc wszystkie, występujące w rejonie Południowego Atlantyku.

W Antarktyce limit połowowy i międzynarodowa konwencja pozwalają na łowienie 200 tys. fok rocznie — praktycznie łowi się kilka tysięcy — głównie jako pokarm dla psów pociągowych pracujących na tym terenie.

Badania botaniczne przeprowadzone przez polskich botaników w Antarktyce wykazały, że roślinom powodzi się tutaj całkiem nieźle. Nie tylko rozrastają się bujnie, ale kwitną i wydają nasiona.

Bujny, jak na Antarktydę, rozwój roślinności zachęca do otwarcia tu specjalnej pracowni — swego rodzaju antarktycznego ogrodu botanicznego dla badania rozwoju roślin i opracowywania technologii rekultywacji terenów polarnych, niszczonej przez człowieka przy zakładaniu stacji.

W tradycyjnej już w Polsce geologii polarnej są w tym roku do odnotowania duże osiągnięcia. Zespół geologiczny pod kierunkiem prof. dra Krzysztofa Birkenmajera znalazł dowody na to, że pierwsze zlodowacenie na Antarktydzie miało miejsce około 10 mln lat temu, na początku trzeciorzędu, i sięgało aż do wysp Szetlandów Południowych.

Stacja im. H. Arctowskiego i pracujące tu wyprawy Polskiej Akademii Nauk koncentrują się na badaniach biologicznych. Polska ma w tej dziedzinie dużo do powiedzenia i jest obecnie w czołówce światowej — nadaje ton kompleksowym badaniom biologicznym w Antarktyce. Wyniki obecnej wyprawy są ciekawe i, co najważniejsze, zmierzają do opracowań, które pomogą racjonalnie wykorzystywać żywe zasoby Antarktyki. Poważny udział kraju w badaniach problematyki biologicznej toruje mu drogę do udziału w komisjach i konwencjach specjalistycznych organizacji międzynarodowych Grupy Konsultatywnej Państw Sygnatariuszy Układu Antarktycznego, ustalających kwoty połowowe i dzielących je na poszczególne państwa. Rozwój biologii w badaniach antarktycznych jest również zgodny z ogólnym trendem zmian, jakie obserwujemy w antarktycznych stacjach badawczych.

ANNA LASKOWSKA

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (418)

Bóg. Według nich Jezusa Bogiem zrobili Jego wyznawcy: uczniowie, apostołowie, ewangeliści.

Są jednak i tacy, którzy zaprzeczyli istnieniu Jezusa nawet tylko jako człowieka, że wymienimy tytułem przykładu: Bauera, Klatnoffa, Drewsa, Niemojewskiego. Bruno Bauer (ur. 109, zm. 1882), doktor teologii, wpięrw ortodoksyjny, mimo iż był uczniem Hegla, potem jako profesor w Bonn pisze kilka prac, w których odrzucając Biblię i Tradycję zaprzecza istnieniu Chrystusa (Por. *Kritik der evangelischen Geschichte des Joannes*, Brema 1840; *Kritik der evangelischen Sonoptiker*, Leipzig 1840; *Kritik der Evangelien und Geschichte ihres Ursprungs*, Berlin 1855; *Die Apostelgeschichte*, Berlin 1850; *Kritik der Paulinischen Briefe*, Berlin 1852). A. Kalthoff, teolog protestancki, w pracach pt. *Das Christusproblem* (Jena 1903) i w *Was wissen wir von Jesus* (Jena 1912) stara się przeprowadzić tezę, że o istnieniu realnego Jezusa nie wiemy nic, że Jezus, który od wieków istnieje w świadomości ludzkiej jest mitem, jest personifikacją marzeń starego świata. Podobnie uważają Jezusa za mit, a więc przeczą Jego realnemu istnieniu A. Drews (*Die Christus — mythe*, Jena 1924), A. Niemojewski (ur. 1864, zm. 1921) głównie w publikacjach: *Legendy* (1902) i *Bóg Jezus w świetle badań cudzych i własnych* (1909).

Czy i jakie wobec powyższego istnieją konkretne dowody na historyczność i boskość Jezusa? Tak, mamy dowody konkretne na historyczność i boskość Jezusa Chrystusa. Zwykle się je dzieli na dowody chrześcijańskie i niechrześcijańskie.

Że Jezus istniał, że był Bogiem i Człowiekiem, że bóstwo Jego i człowieczeństwo zamieszkało w osobie Słowa (Logos), a związek ten teologia nazywa — Unią Hipostatyczną, wiemy przede wszystkim z Pisma św. Nowego Testamentu, oraz z innych pomników pierwszych wieków chrześcijaństwa, które to pomniki zachowały się i w sposób bezpośredni (np. katakumby), czy pośredni świadczą według ogółu teologów, zwłaszcza katolickich, wielu archeologów, o faktycznym istnieniu Jezusa. Nie mówiąc tu o historyczności, autentyczności i czasie powstania ksiąg Pisma św. Nowego Testamentu,

stwierdza się, że Pismo św. Nowego Testamentu (→ Biblia) przyjmuje istnienie rzeczywistego Jezusa i uznaje Go równocześnie Synem Bożym.

Jezus urodził się w Betlejemie przed 750 rokiem od założenia Rzymu, a zatem na kilka lat przed naszą erą, pod koniec rządów króla Heroda I Wielkiego (ur. ok. 72 r., a zmarł w 4 r. przed naszą erą), który według starego kalendarza zmarł w 750 r. Parę lat przed swoją śmiercią dowiedział się od mędrców, iż w Betlejemie narodził się przyszły król żydowski — Jezus. Herod polecił im dowiedzieć się szczegółów o nowonarodzonym Jezusie, do którego z holdem podążali mędrcy-królowie i w drodze powrotnej wrócić do Jerozolimy z odpowiednim dlań sprawozdaniem. Ale mędrcy nie wrócili, a upłynęło od ich u Heroda pobytu ok. kilkanaście miesięcy. Drżąc o utratę swej władzy „wtedy Herod, widząc, że mędrcy go zawiedli, rozgniewał się bardzo, kazał pozabijać wszystkie dzieci w Betlejemie i w całej jego okolicy, od dwóch lat i młodsze, według czasu, o którym się dokładnie dowiedział od mędrców” (Mt. II, 46). Działo się to na parę lat przed śmiercią Heroda; ogólnie przyjmuje się rok 3—6 przed naszą erą. Św. Łukasz tak opisuje narodzenie Jezusa Chrystusa: „I stało się w one dni, że wyszedł dekret cesarza Augusta, aby spisano cały świat. Pierwszy ten spis odbył się, gdy Kwiryniusz był namiestnikiem Syrii (prawdopodobnie w 8 r. przed naszą erą, gdyż następny odbył się w 6 r. naszej ery, a spisy takie odbywały się w cesarstwie rzymskim co czternaście lat, n.). Szli więc wszyscy do spisu, każdy do miasta swego. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaretu, do Judei, do miasta Dawidowego, które zowią Betlejem. Dlatego, że był z domu i z rodu Dawida, aby był spisany wraz z Maryją, poślubioną sobie małżonką, która była brzemienna. I gdy tam byli, nadszedł czas, aby porodziła. I porodziła syna swego pierwotnego i owinała go w pieluszki i położyła go w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk. II, 1—7). Jezus poczęty w sposób nadprzyrodzony za sprawą Ducha św. z Marvi Dziewicy po jakimś czasie wrócił ze swoją ziemską matką, Najśw. Maryją

MOJA WARSZAWA

„Miasto to wielkie jest i ludne, a widok jego znad rzeki do piękniejszych w całej Europie się zalicza. I gdzie człek nie stąpi, tam zakątki się urokliwe odsłaniają, które oczy i serce radują...” pisał o Warszawie prawie przed czterystu laty przybysz z dalekiej Francji, który od pierwszej chwili pobytu w nadwiślańskim grodzie znalazł się pod jego urokiem. Warszawa — stolica Polski, moje rodzinne miasto... Miasto, które w 1945 roku, dzięki systematycznie realizowanym barbarzyńskim planom Hitlera, było prawie w 80 procentach zniszczone. „Warszawa stała się tylko punktem geograficznym na mapie!” wołał w Reichstagu Hitler w 1944 roku, ale już w rok później, w styczniu 1945 roku, warszawscy dziennikarze pisali o niej: „Być może stanie jeszcze kiedyś w tym miejscu miasto, ale to już nie będzie Warszawa”... W Warszawę piękną, odbudowaną i nowoczesną, nie wierzył prawie nikt...

Historia początkowo odbudowy, później zabudowy Warszawy ma już w chwili obecnej 35 lat. Począwszy od 17 stycznia 1945 r., tj. od dnia wyzwolenia stolicy spod hitlerowskiego jarzma, miasto wracało do życia. Każdy miesiąc, a nawet dzień przywracał Warszawie okrucy jej dawnej świetności. Z tych okruców, ofiarowanych miastu przez jego mieszkańców i społeczeństwo całego kraju, wyrosła nam Warszawa na miarę XX wieku, jeszcze piękniejsza i wspanialsza niż niegdyś. Powróciły do dawnej świetności gmachy wzniesione przed wiekami przez dawnych mistrzów, ale i powstałe dzieła naszych współczesnych architektów dostarczają nam wiele powodów do dumy.

Moja Warszawa... Miasto, od którego jestem tyle lat młodsza. Ja miałam to szczęście, że urodziłam się już po wojnie — zaoszczędzone mi zostało przeżywanie koszmaru okupacji i oglądanie ruin oraz dymiących zgliszcz. Przyszłam na świat już w wolnej i częściowo odbudowanej stolicy. Jako dziecko nie bawiłam się w brudzie i błocie, lecz na pachnącej, zielonej trawie, nie znając wycia syreny alarmowej i patrząc spokojnie w niebo nad głową. Przeżyłam spokojne, szczęśliwe dzieciństwo jak wiele innych dzieci, moich rówieśników, nie wiedząc nawet, że o to moje szczęście zginęły miliony osób...

Dziś już wiem dobrze o tym, że żadne inne miasto nie zastąpi mi Warszawy. Nie mogłabym czuć się sobą gdzie indziej, wśród innych ludzi, innej atmosfery. Czuję się związana z moim miastem jak z własną rodziną, a gdy opuszczam je na niewielki czas — wracam stęskniona i niespokojna, czy aby wszystko w porządku...

W przeciągu trzydziestu kilku lat Warszawa stała się tak nowoczesną metropolią, tak się rozbudowała i zmie-



niła, że czasami ze zdumieniem i podziwem wypuszczam się na dalekie wędrowki i przejażdżki po niej, by lepiej ją poznać. Wstyd mi nawet czasem, że nie orientuję się w nowo powstałych osiedlach mieszkaniowych, że nie znam najnowszych tras, mostów... Przecież to moje rodzinne miasto!

Mieszkam na Ochocie. Pamiętam, że jako kilkuletnie dziecko biegałam z grupą koleżanek po wspaniałych werstepach, na których dzisiaj wiją się Nowe Aleje Jerozolimskie. Wtedy był to nie zagospodarowany teren, na którym stało kilka bunkrów pohitlerowskich, wokół których spokojnie pasły się łacie Krasule! W kierunku na Dworzec Zachodni można było iść całymi kilometrami, nie spotykając po drodze żywego ducha — to były czasy! Żyłam w mieście — a warunki — zupełnie jak na wsi...

Dzisiaj na terenie naszych dziecięcych zabaw stoi całe piękne osiedle mieszkaniowe, jest też dużo zieleni i placyków zabaw dla dzieci. Ale te maluchy, które codziennie widzę, nie znają np. znajomego mi turkotu i hałasu, czynionego niegdyś przez kolejkę WKD — zmorę wszystkich, którym dane było mieszkać w pobliżu jej trasy. Czasami od wielkiego święta mama zabierała nas wszystkich, całą gromadkę dzieci, bo razem z nami zawsze jechały dzieci sąsiadów i znajomych, na „piknik” w okolicie dzisiejszego Parku Szczęśliwickiego. To dopiero była dla nas frajda — była to cała wielka wyprawa za miasto! Dziś, kiedy czasami z dziećmi odwiedzam Park Szczęśliwicki, prawdziwą oazą dla okolicznych mieszczuchów, spragnionych świeżego powietrza, zieleni i ładnych widoków, sama nie wiem, kiedy było tu fajniej — wtedy, przed laty, czy właśnie dziś...

Lubię spacerować po Warszawie. Lubię patrzeć na śpieszące się, kolorowe tłumy, przesuwane się warszawskimi „traktami spacerowymi” — Krakowskim Przedmieściem, Nowy Światem, Starym Miastem... Lubię przystawać przed oknami wystawowymi, oglądać jarzące się neony i migotliwe reklamy. Najbardziej zaś lubię Warszawę nocą — gdy powoli zapada noc, miasto cichnie, ustaje wielkomiejski ruch i codzienny pośpiech. W Wiśle odbijają się setki i tysiące światełek, w parkach i ogrodach spokojnie szumią drzewa, a niektórzy — zaczynają „nocne Polaków rozmowy”...

Taka jest właśnie moja Warszawa — tętniąca życiem, wspaniała, najukochańsza ze wszystkich miast. A czasem pogodna, cicha, zadumana, przeglądająca się w lustrze Wisły i w oczach podziwiających ją ludzi... Miasto, które siłą ludzkich serc i umysłów nigdy nie przestało istnieć, i trwać będzie zawsze, zwłaszcza dla nas — warszawiaków...

E. R.



JAK POWSTAŁA WARSZAWA?

Nie wie nikt i nikt nie pamięta, w niczym nawet najdawniejszym wspomnieniu nie zachowało się ani źdźbło prastarej historii miasta leżącego nad brzegiem szaro-złotej rzeki Wisły. Jaki był w rzeczywistości początek stolicy-naszej Warszawy? Kiedy dźwignęła się ona grodzkimi wieżami nad brzeg płaski i piaszczysty, kiedy ścianami potężnego grodu przejrzała się w Wisłę?

Pamięć ludzka zawodzi, księga uczona milczy, ale legenda snuje się tęczą nicia, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Słowa legendy płyną spokojnie z ciemnej dali minionych wieków. Ciche, proste słowa, lecz do głębi przejmujące serce wzruszeniem. Oto co głosi legenda:

„Za czasów dawnych, pradawnych, jeszcze za pogańskich, słowiańskich czasów... gdy słoneczny bóg, zwany Światowidem, władał mazowiecką puszcza — w puszczy tej, pełnej zwierzyny łownej i dzikiego ptactwa, nad „białą wodą” — Wisłą, zbudował chatę z bali sosnowych pewien rybak — Warsz. Chatę ową pokrył trzcinowym dachem. Żona Warsz na glinianym kominie rozpałała ognisko i poświęciła je bogu światła i ciepła, ognistemu, głośno swarzącemu bogu Swarogowi.

Warsz ze swoją żoną żył spokojnie i bogobojnie. Pewnego dnia rybak wypłynął na półów. Warsz żona została w chacie wraz

ze swoją dwójką dzieci — bliźniąt. Przygotowywała mężowi potrawę.

Wtem gość niezwykle zawitał do chaty rybaka. Był to sam mazowiecki książę Ziemo-wit, który zabłądził na łowach w czarnej puszczy. Książę ze swymi towarzyszami ścigał tura; nie zauważył nawet, że odłączył się od swego dworu i w żaden sposób nie mógł znaleźć drogi powrotnej do zamku. Gdy tak błądził stroskany, doszedł do wiślanego brzegu. Wtedy z fali rzeki wynurzyła się dziwna postać — ni to dziewczyna, ni to ryba. Ta dziwna panna wskazała głodnemu i spragnionemu księciu ścieżkę prowadzącą do chaty rybackiej.

— Idź — rzekła — a znajdziesz tam swój los i los ojczyzny swojej.

Usłuchał jej książę i wszedł do rybackiej chaty. Cóż tam znalazł? Chatę ubogą, ludzi prostych, życie pracowite. Okazano mu tam gościnność szczerą i pomoc życzliwą, prosto z serca płynącą, nie jak wielmożnemu księciu, lecz jak bratu będącemu w potrzebie.

Z początku zdziwił się wielmożny książę. Potem zrozumiał, że potęgą na świecie nie jest bogactwo ani władza — ale potęgą wielką jest praca i uczciwość. Zrozumiał to, ocenił i uszanował. A że puszcza, według ówczesnych dawnych praw, należała do księcia, rzekł tedy książę rodzinie rybaka:

— Coście sami już pracą swych dzielnych rąk na dzikiej ziemi zdobyli i znacznie, znacznie więcej jeszcze, po wieczne czasy daruję wam i waszemu potomstwu. Waszą będzie ta ziemia.



W taki to oto sposób powstała wieś Warszawa, którą później nazwano Warszawą...

Opr. M.S.
na podstawie legendy Ewy Szelburg-Zarembiny pt. „Warszawa, stolica Polski”

35 lat temu

WYZWOLENIE WARSZAWY

W rok 1945 świat wkroczył z nadzieją na szybkie zakończenie trwającej już ponad cztery lata II wojny światowej.

Nadszedł styczeń 1945 roku. Front wschodni zastygł na osiągniętych pozycjach nad Wisłą, które osiągnął jeszcze jesienią zeszłego roku (1944 r.). Bataliony, pułki, dywizje i armie przygłnęły do ziemi, zapadły w przyfrontowe lasy. Czasami tylko po obu stronach frontu błyskały światła rakiet i reflektorów...

Była to cisza przed burzą. Od Bałtyku do Karpat (1200 km) front żył! Po obu jego stronach ciągnęły pociągi, samochody załadowane wojskiem, amunicją i sprzętem wojskowym. Obie strony przygotowywały się do decydującego natarcia. Armia Radziecka wraz z oddziałami Ludowego Wojska Polskiego zamierzała rozgromić wroga na pozostałych terytoriach Polski i osiągnąć pozycje nad Odrą i Nysą Łużycką. Niemcy pragnęli powstrzymać pochód Armii Czerwonej, aby mieć więcej czasu na przygotowanie nowej kontrofensywy.

O stopniu przygotowań Armii Radzieckiej świadczy fakt, że na tzw. przyczółkach mostowych skoncentrowano 250 dział na 1 km frontu. Ofensywę radziecką rozpoczęło natarcie przeprowadzone 12 stycznia z przyczółka pod Sandomierzem. 14 stycznia z przyczółków pod Warką i Puławami ruszyło nowe, potężne uderzenie wojsk radzieckich. Już pierwszego dnia obrona niemiecka została przełamana.

W ofensywie wojsk radzieckich wzięła udział także 1 Armia Wojska Polskiego. Działała ona w składzie wojsk I Frontu Białoruskiego, na odcinku o długości około 50 km, w rejonie Warszawy. Właśnie okolice Warszawy były szczególnie umocnione. Samo miasto hitlerowcy przystroczyli w mocną twierdzę.

Niemcom sprzyjały w organizowaniu trwałej obrony warunki terenowe. W pasie działania armii (od Jabłonny do Karczewa), na północ i południe od Warszawy, wznosił się nad Wisłą wysoki wał przeciwpowodziowy, a w rejonie samego miasta zachodni brzeg znaczniej góruje nad brzegiem wschodnim. Już to pozwalało hitlerowcom oprzeć pierwszą linię obrony o korzystnie ukształtowany teren oraz trzymać pod silnym ostrzałem Wisłę, którą żołnierze polscy zmuszeni byli forsować.

W głębi obrony hitlerowskiej (druga linia) wokół Warszawy, znajdują się liczne osiedla i miejscowości charakteryzujące się przeważnie zabudową trwałą, murywaną, dlatego też stanowiły one świetne punkty oporu. Po przełamaniu obrony hitlerowskiej wojska I Frontu Białoruskiego rozpoczęły manewr oskrzydający, wychodząc na tyły Warszawy. W wyniku tego manewru zostały wyzwolone Żyrardów, Grodzisk i Błonie. Hitlerowcy w rejonie Warszawy znaleźli się w okrążeniu. Wszelkie drogi odwrotu zostały zamknięte.



Defilada w wyzwolonej stolicy, styczeń 1945 r.

Nadszedł teraz czas działania dla żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego. 16 stycznia 1945 roku 2 dywizja piechoty przeprawiła się przez Wisłę i rozpoczęła atak na Warszawę od północy. Tego samego dnia oddziały rozpoznawcze 1 brygady kawalerii także sforsowały Wisłę i opanowały pierwszą linię obrony nieprzyjaciela. Nocą z 16 na 17 stycznia przeszły Wisłę główne siły armii polskiej. Walki przesunęły się w głąb Warszawy. Powoli zdobywano Powązki, Dw. Gdański, Ogród Saski, Plac Zamkowy, Dw. Główny. 17 stycznia, późnym popołudniem, opanowano Służew i Ochotę oraz dotarto do skraju Okęcia.

I tak w dniu 17 stycznia 1945 roku rozeszła się wiadomość na którą czekali wszyscy Polacy: Warszawa wolna! Wojska I Frontu Białoruskiego wraz z żołnierzami I Armii Wojska Polskiego odbiły stolicę Polski!

Był to pierwszy dzień spalonej i wymarłej, ale wolnej Warszawy. Za żołnierzami zaczęli wracać do miasta ludzie.

19 stycznia, pośród szczątków i dymiących gruzów dawnych kamienic Alei Jerozolimskich ustawili się szpalerem mieszkańcy stolicy. Na trybunie, wzniesionej obok ruin Dworca Głównego, stanęli przedstawiciele rządu polskiego, Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej. Ulicą wyzwolonej stolicy przemaszzerowała pierwsza defilada jednostek Ludowego Wojska Polskiego.

Warszawa znów żyła, wbrew woli hitlerowców, którzy usiłowali ją wymazać z mapy Europy.

M.D.

POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

**DOROBEK
KOŚCIOŁA WSCHODNIEGO
W PIERWSZYM
TYSIĄCLECIU**

Patriarchat Konstantynopola powstał w chwili, gdy miasto to stało się drugim Rzymem jako siedziba cesarza. Konstantynopol pełnił rolę ośrodka religijnego na Wschodzie. Można powiedzieć, że im bliżej było do roku tysięcznego, tym większy mrok zalegał na Zachodzie, a rozpalala się jasność na Wschodzie. Mimo ciągłych wojen z Arabami, poziom życia religijnego i kulturalnego wzrastał nieustannie. Wymogi wiary w równej mierze obowiązywały świeckich i duchownych, cesarza i patriarchę, bogatych i biednych. Zaznaczyło się to w procesie feudalizacji społeczeństwa, który przebiegał wolniej i odmiennie niż na Zachodzie. Wszyscy pracowali dla państwa cesarz, patriarcha, duchowieństwo, arystokracja, kupcy i rzemieślnicy oraz prosty lud, a nie tylko warstwy najniższe, jak to miało miejsce na Zachodzie. Nauką Kościoła interesują się, a często kierują nią ludzie

świeccy. Powstało wiele uczelni i bibliotek. W szkołach uczono, obok teologii, również medycyny, geografii i poezji, a nawet zaznajamiano uczniów z pismami wielkich pisarzy pogańskich starożytnej Grecji. Nic więc dziwnego że Kościół Wschodni wychował, u szychu pierwszego tysiąclecia, wielu uczonych i wielu świętych. Dla przykładu wystarczy przypomnieć sylwetki apostołów Słowian — św. Cyryla i Metodego — twórców pisma i liturgii słowiańskiej oraz patriarchę Focjusza, któremu wprawdzie Zachód przypisuje winę za spowodowanie czasowej schizmy, ale Wschód zalicza go do grona świętych.

Choć ogromną rolę w chrześcijaństwie wschodnim miał do spełnienia cesarz jako świecki stróż prawa ewangelicznego, Kościół cieszył się jednak całkowitą swobodą w wypełnianiu swej zasadniczej, nadprzyrodzonej misji uświęcania i zbawiania człowieka. W przeciwieństwie do Zachodu, nie znano w Kościele Wschodnim świeckiej inwestytury, a urzędnicy świeccy częściej byli powoływani na stanowiska kościelne,

dzięki powszechnej znajomości teologii. Duchowni niezmiernie rzadko pełnili odpowiedzialne funkcje cywilne w państwie. Życiem kościelnym kierowały sobory i synody. Wpływ religii na uświęcenie życia społecznego, widać najbardziej w praktyce sądowniczej cesarstwa. Władca kierując się miłosierdziem chrześcijańskim, rzadziej skazywał przeciwników politycznych, a nawet pospolitych przestępców na karę śmierci, jak to miało miejsce na zachodzie Europy. Do najcięższych kar jakie stosowano należało obcięcie palców, nosa lub uszu, zesłanie na wygnanie, a najczęściej zamknięcie w jakimś klasztorze, co dawało czas na przemyślenie swego postępowania i poprawę życia. Na podkreślenie zasługuje zdrowa nauka o rodzinie i dowartościowanie niewiast, które mogły sięgać po godność cesarską. Wielkim szcunkiem cieszyły się rodziny duchownych, ich żony i dzieci. Jedynie od biskupów, zapewne pod wpływem Zachodu, zaczęto domagać się pozostania w stanie wolnym, stąd biskupami w Kościele Prawosławnym zostają przeważnie mnisi.

Widowym znakiem życia religijnego była służba Boża sprawowana w świątyni, zwanej z grecka — kirkos — stąd cerkiew. Najświętszym miejscem w cerkwi był ołtarz oddzielony początkowo od reszty kościoła ruchomą, a później stałą zasłoną, na której wieszano ikony — obrazy Chrystusa i Jego Matki. Tę zasłonę zwie się „ikonostasem”. Przez „ikonostas” do ołtarza wiodą tak zwane „carskie

wrota”, którymi wkracza celebrans i inni duchowni sprawujący Najświętszą Ofiarę. Msza święta w Kościele Wschodnim jest zawsze wspólną ofiarą. Msze prywatne są tu nieznanne. Komunii świętej udzielano pod dwiema postaciami i używano chleba kwaszonego.

Patriarcha nie sprawuje absolutnej władzy nad innymi biskupami, lecz jako pierwszy między równymi czuwa nad prawidłowym wypełnianiem postanowień soborów i synodów. W życiu Kościoła Wschodniego obok błasków były również i cienie. Największym jest zapewne zbyt wielki kult okazywany cesarzowi i perestro ilości ludzi poświęcających się życiu zakonnemu. Błasków jednak było bez porównania więcej niż cieni. Kościół Prawosławny, zachowując nienaruszony od czasów apostołskich depozyt wiary, może z dumą szczerzyć się, iż nawet w szczegółach pozostał wierny nauce Zbawiciela i w „sposób poprawny sławi Boga”. Nazwa ta rozpowszechniła się szczególnie po wprowadzeniu na Wschodzie święta Ortodoksji w 812 roku. Odtąd Wschód będzie podkreślał swoją prawowierność, a Zachód katolickość. Z czasem słowo: katolicki zatraciło swą pierwotną treść, jako określenie poprawnej wiary, a stało się wyznacznikiem przestrzennej ekspansji Kościoła Rzymskokatolickiego. Dopiero Kościoły starokatolickie przywróciły temu przymiotnikowi pierwotne chrześcijańskie znaczenie.

KSIĄDZ LUKASZ

• PORADY • PORADY • PORADY • PORADY •



POŻYWIENIE A LEKI

Już od czasów Awicenny (980—1037 r.) lekarze wydawali zalecenia w sprawie sposobu przyjmowania leków: dwa czy trzy razy dziennie, przed czy po jedzeniu, z popiciem wodą lub bez.

Dziś wiadomo, że sposób odżywiania stwarza predyspozycje do pewnych schorzeń, a także często zmienia — w sposób niekorzystny — działanie leku. W ciągu ostatniego dziesięciolecia coraz więcej pojawia się prac naukowych omawiających wspólną zależność żywienia i leków. Wpływ pokarmu na leki, na poziomie wchłaniania z przewodu pokarmowego, dotyczy oczywiście leków podawanych doustnie. Każdy lek podawany doustnie, jeśli nie ulegnie w krótkim czasie rozkładowi w kwaśnym środowisku żołądka, rozpoczyna właśnie w żołądku swój cykl przemian w organizmie chorego. Niektóre leki cykl ten rozpoczynają nieco później w jelicie cienkim.

W zależności od tego, czy lek był zażyty przed, czy po posiłku jego zetknięcie z zawartością żołądka ma wpływ na dalsze jego za-

chowanie. Zależnie od rodzaju pokarmu będącego w żołądku, mogą nastąpić pewne zmiany biochemiczne doustnie zażytego leku. Na przykład tłuszcze, a szczególnie te, które zawierają wyższe kwasy tłuszczowe (jak choćby olej rzepakowy), hamują wydzielanie soku żołądkowego i czynności mięśni żołądka. W wyniku tego działania zachodzi zwolnienie procesów trawiennych i opóźnienie transportu masy pokarmowej do dalszych odcinków przewodu pokarmowego, gdzie następuje wchłanianie, a więc, tym samym, opóźnienie w działaniu leku. Podobnie działa tłuszcz miękki i śmietanki. Pokarmy, zmieniające kwasowość żołądka w kierunku zasadowym, będą powodowały zasadnicze zmiany w resorpcji (wchłanianiu) leku, a nawet — w wypadku niektórych leków — całkowicie zniosły ich działanie. Do takich potraw należy większość owoców i jarzyn, z wyjątkiem żurawin i śliwek.

Każde opóźnienie przejścia masy pokarmowej z żołądka do dalszych odcinków przewodu pokarmowego opóźnia działanie leku, i tym samym jest szkodliwe dla chorego. Skład spożytego posiłku również może wpłynąć na szybkość wchłaniania leku. Np. pokarmy zawierające duże ilości białka, jak mleko i jego przetwory, wiążą niektóre leki, między innymi tetracyklinę. Utrudnia to, a nawet czasem uniemożliwia osiągnięcie efektu leczniczego w związku ze zbyt małym poziomem leku w organizmie.

Duże ilości białka w przewodzie pokarmowym mogą stanowić poważne utrudnienie w osiągnięciu odpowiedniego poziomu leku w organizmie — zwłaszcza w przypadku podawania sulfonamidów, niektórych leków nasercowych i przeciwzakrzepowych. Nie należy tego stwierdzenia traktować jako zalecenia diety bezbiałkowej w czasie kuracji, chodzi tylko o odpowiednie dobranie czasu podania leku i czasu spożycia posiłku. Przy leczeniu niedoboru żelaza (pewien rodzaj anemii), trzeba unikać potraw utrudniających wchłanianie żelaza w organizmie, a więc kleiku z ryżu, pieczywa żytniego, herbaty i jarzyn zawierających szczawiany (szczaw, rabarbar).

Lekarz, przepisujący leki, zwykle podaje: kiedy i w jakiej postaci lek należy przyjmować. Naukowcy, zajmujący się tymi problemami, widzą rozwiązanie w umieszczeniu na opakowaniach leków wskazówek odnośnie diety i sposobu ich stosowania, aby lek był zarówno skuteczny, jak i bezpieczny. W wielu wypadkach takie wskazówki są już zamieszczane. W wypadku, gdy nie wie się, jak i kiedy lek zażywać, najlepiej zawsze zapytać o to lekarza. Wskazań lekarza należy bezwzględnie przestrzegać!

LEKARZ



Rozmowy z Czytelnikami

List Pani Lucji L. z Katowic porusza kluczowe zagadnienie chrześcijaństwa, jakim jest zbawienie człowieka przez łaskę. „Często w czasie niedzielnych kazań używa się terminów zbawienie, odkupienie, śpiewamy w pieśni: „Klaniamy Ci się, Panie Jezu Chryste, i błogosławimy Tobie, żeś przez krzyż i mękę swoją odkupił świat”. Jeżeli Jezus Chrystus odkupił nas i zbawił przez łaskę, nasze dobre uczynki i trud walki ze złem nie mają większego znaczenia. Rację mają ci, którzy lekko idą przez życie, nie przejmując się życiem wiecznym”.

Pani Lucjo, odpowiadając na powyższe pytanie, pragnę przede wszystkim na wstępie zaznaczyć, że Pismo św. nieustannie przypomina nam tę prawdę, iż nasze zbawienie dokonuje się dzięki Bożej łasce. Prawda ta na pozór tylko wydaje się sprzeczna z naturalnym poczuciem sprawiedliwości.

Na czym polega nasze zbawienie, odkupienie, ocalenie, usprawiedliwienie poprzez łaskę? Człowiek przez swoje nieposłuszeństwo wobec Boga stał się winny, stał się dłużnikiem, a ta wina była i jest tak wielka, że spłacenie jej przerasta możliwości każdego z nas. Łaskawość i miłość Boga ukazuje się w tym, że zesłał swego Syna, Jezusa Chrystusa, który zapłacił nasz dług i odcierpiał karę za nas. Ze względu na Boskość osoby Jezusa Chrystusa wartość Męki Pańskiej jest nieskończona. Umarł za nasze grzechy. Przyjmując na siebie moc grzechu i śmierci Jezus je zwyciężył, a zwycięstwo to otrzymało zewnętrzny blask w zmartwychwstaniu. Uczynił swoimi nasze grzechy, a naszym swoje zwycięstwo. Nasz grzech został przybity do drzewa krzyża i ostatecznie odpuszczony. Nasze stare „ja” umarło, ukrzyżowane z Nim i w Nim. Życie, którym żyjemy teraz jest życiem Zmartwychwstałego. Poznać moc Jego zmartwychwstania to znaczy wierzyć w Jego zwycięstwo i wiedzieć, że to zwycięstwo jest naszym zwycięstwem, że przez Niego i z Nim obiecano nam życie z Bogiem, że przez Niego i z Nim jesteśmy uwolnieni od śmierci. Święty Paweł woła do

nas radośnie: „Tak i wy rozumieście, że umarliście dla grzechu”. Wie dobrze, że my jeszcze nie jesteśmy tacy, że walka będzie trwać przez całe nasze życie doczesne. Lecz od momentu zbawienia przez Jezusa Chrystusa nie nosimy w sobie niezatartego piętna grzechu, bo On nas zbawił i w Nim zmartwychwstaliśmy.

Z tego co powiedziane zostało o zbawieniu jakie dokonuje się dzięki łaskawości Boga, ktoś mógłby wysunąć błędny wniosek, że jeśli wszystko zawdzięczamy łasce, to nasz wysiłek jest niepotrzebny, zbędny. Nasze zadanie powinno iść w kierunku otwarcia się na zbawienie przez wiarę i uczynki płynące z wiary. Zgodzić się na to, by On mógł nas zbawić.

Kiedy zgodzimy się na to, by On w nas działał, wtedy nadal będziemy żyć, pracować, budować, kochać, cierpieć, i umierać, lecz nasze życie zostanie wypełnione pełnością Bożą i wszystko zmierzać będzie do osiągnięcia zmartwychwstania w Królestwie Niebieskim. Sami z siebie nie możemy się zbawić, bo to przekracza naturalne zdolności człowieka, lecz również Bóg nie może nas zbawić na siłę, bez naszego przyzwolenia i współpracy z Bożą łaską. Tu tkwi sens wysiłku walki ze złem, z grzechem.

Pan Bronisław D. z Nowego Sącza prosi o wykaz monarchów, których Kościół rzymskokatolicki zaliczył w poczet świętych lub błogosławionych. „Znam kilku z nich — pisze nasz czytelnik — jak np. Henryk II cesarz niemiecki, Olaf król norweski, Eryk król szwedzki, Kanud król duński. Natomiast nie wiem nic o monarchach Szkocji, Anglii, Francji, Hiszpanii, Portugalii. Chciałbym się też dowiedzieć o tzw. narodowych świętych wyżej wspomnianych państw”.

Szczerze przyznam, że w tej chwili nie jestem w stanie odpowiedzieć na Pańskie pytania. Po prostu nie wiem, czy takowy wykaz został opracowany, a podjęcie się tej pracy wymaga wielu dni ślęczenia nad żywotami świętych. Jedno mogę Panu poradzić: lekturę książki „Martyrologium rzymskie”, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy,

Kraków, ul. Kopernika 26. W wymienionym „Martyrologium” znajdzie Pan między innymi wykaz świętych monarchów. Przy okazji pragnę dodać, że nie odbierając niczego z czci należnej świętym monarchom, biskupom, kapłanom, zakonnikom i możnym tego świata, oso-

biście bardziej jestem zainteresowany świętością wyrastającą z dnia codziennego, świętością zwykłych ludzi pracy. Nie tyle egzotyka i nadzwyczajność, ile życie zgodne z czci Ewangelią jest istotą świętości.

DUSZPASTERZ

CZY WIECIE, ŻE...

Jednym z najstarszych wytworów ludzkiej kultury jest... grzebięć. W epoce jaskiniowej ludzie czesali się zapewne palcami. Później wpadli na pomysł używania do tego celu cierni lub ości, przymocowanych do patyka. W każdym bądź razie, już bardzo dawno temu zaczęto wyrabiać grzebień, a wiemy o tym z licznych wykopalisk.

W języku polskim nazwa grzebień wywodzi się od czasownika grzebać, grzebać we włosach — w celu ich uporządkowania i ułożenia. Archeologowie w prasłowiańskich osadach, jak na przykład w Biskupinie, znaleźli wiele bardzo pięknych i sztucznie wykonanych grzebień. Były one wykonywane z drewna, kości, bursztynu, rogu, a również brązu i srebra. Spotkano grzebień jedno i dwustronne, a od XI wieku również grzebień składane, przeznaczone do noszenia przy sobie.

W XVII i XVIII wieku w eleganckim świecie — oprócz grzebień — używano także maleńkich młoteczków z kości słoniowej lub srebra. Służyły one do... zabijania wszy, które znajdowały świetne warunki egzystencji pod olbrzymimi perukami noszonymi w dzień i szczylnymi, atlasowymi czepkami i szlafmycami, używanymi na noc.

Historia lustra też jest bardzo stara. Już w starożytnym Egipcie wyrabiano lustra metalowe z miedzi lub brązu. Doskonale wypolerowane, dawały wyraźne odbicie. Były najczęściej okrągłe, na długiej rzeźbionej ręczce. Znano wówczas też lustra wklęsłe, zmniejszające obraz i wypukłe — powiększające. W starożytnej Grecji i Rzymie wyrabiano lustra srebrne i pozłacane. Często zdobiono je płaskorzeźbami z kości słoniowej i drogimi kamieniami.

W pierwszym stuleciu naszej ery próbowano wyrabiać lustra ze szkła powleczonego warstwą metalu, minęło jednak wiele stuleci, nim taką produkcję udoskonalono i upowszechniono. Lustra te początkowo były małe, wypukłe i zawsze okrągłe, stanowiły bowiem wycinek dużej lustrzanej kuli. Dopiero w XVI wieku nauczono się wytwarzać płaskie zwierciadła o coraz większej powierzchni. Z ich wyrobu słynęła wówczas Wenecja.

Przez długi czas Polki przeglądały się tylko w lusterkach przywożonych z zagranicy. Zagraniczne lustra miały jednak od początku nazwę jak najbardziej polską: „zierskadia”, czyli przedmiot, w który się zerkna, następnie nazwa ta przekształciła się w słowo „zwierciadło”.

Dużo młodsza jest historia okularów. Zaczęto je nosić w początkach XVII wieku. Pierwsza wytwórnia okularów powstała w Holandii w 1608 roku. Przez wiele lat były one traktowane jako smutna konieczność, szpecząca i postarzająca ich właściciela. Chętniej więc używano maleńkich lunetek lub binokli, czyli podwójnych szkieł na długiej ręczce. Przykładano je do oczu, gdy zaszła tego potrzeba. W połowie XIX wieku zaczęto używać w teatrze lub na wyścigach podwójnych lusterek, czyli lornetek. Do dobrego tonu należało wówczas „lornetowanie” dam siedzących w łozach. Jedynie dam koronowanych nie wolno było oglądać przez lornetkę!

W początku naszego wieku rozpowszechniły się binokle, umieszczone na nosie przy pomocy sprężynowego zameczka, zwane z francuska „pince-nez”. nie były one zbyt wygodne, zameczek uciskał nos, a przy gwałtowniejszym poruszeniu — binokle spadały i tłukły się. Umocowywano je więc dodatkowo na długiej, czarnej tasiemce, którą panowie zaczepiali do klapy surduta, a panie — u paska spódnicy.

A.M.

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wajtowicz, ks. Wiktor Wysocki (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Marek Dziegielewski (redaktor graficzny), Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapłńska (sekretarz redakcji), Elżbieta Roszkowska.

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 26 zł, półrocznie 52 zł, rocznie 104 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miesięcznych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleciodawców indywidualnych i o 100% dla zleciodawców instytucji i zakładów pracy. Druk. PZG. Sm. 10. N. 15.050. Z. 1533. O-70.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



Stefcia komicznym ruchem załamała ręce.
 — Suwerenie, złituj się! uwolnij mię! — zawołała wesoło.
 — O nie! żadnej łaski. Jest pani w mej mocy, nikt cię nie wyzwoli, gdy ja nie zechcę. Mam za sobą całe szeregi popleczników.

Wskazał na portrety.
 — Ależ oni! mnie nie chcą, wypędzają!..
 Waldemar pochylił się do niej i rzekł z naciskiem:
 — Gdy ja zechcę, oni zechcą! muszą!
 Stefcia zaczęła tracić pewność siebie. Postanowiła wyjść koniecznie.
 Lecz w tej chwili zaszło coś dziwnego. Oto w parku rozległ się krzyk, głos wpadł do sali i akustyczne ściany powtórzyły go kilkakrotnie. Zdawało się, jakby portrety przemówiły. Na Stefci, rozstrojonej do najwyższego stopnia, głos ten po słowach Waldemara zrobił wrażenie wprost piorunujące. Rzuciła się naprzód z okrzykiem przestraszenia.
 Waldemar chwycił ją za ręce powyżej łokcia i przysuwając do siebie, szepnął:
 — Nie bój się... Przy mnie nic ci nie grozi...
 Trzymał ją mocno, sploniona, z silnie bijącym sercem.
 — Nie obawiaj się, jestem przy tobie — powtórzył stłumionym głosem.
 Oczy jego piękły, pasowe usta drżały, w skroniach biły tętna.
 Chwila ciszy... pierwszego upojenia!..
 Niewidzialne dreszcze łączyły ich z sobą, zlewając się w jeden prąd, pełen czaru.

Waldemar nie przerywał go ani poruszeniem, ani słowem. Chciał go wyzwolić do ostatka... rozploniona go bliskość Stefci, rozczuliła jej słabość. Czuł, że ja ta chwila mężczy, ale że biedaczka jednocześnie boi się poruszyć, by nie uleciała spłoszona. To go rozrzewniało.

Stefcia była jak nieprzytomna. Pierwszy raz w życiu zadrgał w jej duszy jakiś nowy dźwięk. Doznała obawy przed tym, do którego miała już ufnosć zupełną. Szarpnęła się i rzekła przerywanym głosem:

— Chodźmy stąd... już chodźmy!
 — A moja historia? — spytał.
 — Opowie mi ją pan innym razem.
 — O nie! drugi raz nieprędko może nastąpić podobna chwila, trzeba z niej korzystać.

Podprowadził wahającą się Stefcię do malej kanapki naprzeciw portretu i rzekł z uśmiechem, już spokojny i pewny siebie.

— Niech pani spocznie tu... Ja obok. O tak. A teraz proszę słuchać dziejów babki.

Dziewczyną nie znalazła siły sprzeciwić się mu. Jego stanowczość imponowała jej. Usiadła na kanapie. W białej sukni z pękiem złotych róż w ręku tworzyła bardzo ładną plamę na ciemnej materii. Waldemar zaczął mówić dźwięcznym barytonem, chociaż dzisiaj nieco stłumionym w brzmieniu:

— Babka moja była ofiarą nieszczyśliwej miłości... kochała człowieka, z którym nie pozwolono jej połączyć się.

Słuchającą przeszedł leciuchny dreszcz. Podniosła oczy na twarz portretu z wyrazem głębokiego współczucia.

Waldemar mówił dalej:

— Była księżniczką z rodziny starożytnej, noszącej w swym herbie koronę królewska. Miała wielu znakomitych starających się. Odrzuciła wszystkich, kochając uboższego chłopca, sekretarza w dobrach jej ojca. Kochali się wzajemnie pierwsza miłością, tak potężną, że mogłaby wszystko zwyciężyć. On milczał przeczuwając, że mu jej nie dadzą. Cierpiał skrycie. Ale ona młoda, wypieszczona przez ludzi i warunki życia, naginająca się zawsze do jej woli, nawet kaprysu, nie chciała milczeć. Wyznała rodzicom miłość do młodego Gwidona, prosząc ich o błogosławieństwo. Spotkał ją zawód. Ojciec, książę de Bourbon, człowiek poglądów bardzo rojalistycznych, przesiąknięty feudalizmem, ambitny i dumny, odrzucił wyznania córki. Biedny chłopak, kochając gorąco, przy tym również ambitny, nie zniósł tak straszego ciosu: wkrótce zakończył życie samobójstwem, pożegnawszy się listownie z Gabrielem. Księżniczka, pogrążona w bezgranicznej rozpacz, chciała wstąpić do klasztoru, ale tyran ojciec nie pozwolił na to. Musiała się hawić, musiała znosić holdy licznych konkurentów, lecz opierała się stanowczo rozkazom ojca, który zmuszał ją do zamążpójścia. Tak przeszło kilka lat. Tymczasem dziadek mój Maciej przechodził mniej więcej to samo. Będąc ułanem, gdzieś na balu poznał i pokochał młodą osobę, córkę obywatelską. Nosila ona imię pani.

Waldemar spojrział na oczy Stefci z jakimś rzewnym uśmiechem. Ona drgnęła i przybladła. Spostrzegł to. Delikatnie ujął jej rękę.

— Co pani jest, panno Stefanio?..
 Wsunęła rękę z jego dłoni i zanurzając twarz w różach rzekła:

— Nic... nic... niech pan mówi dalej.
 — Teraz następuje okres najsmutniejszy. Muszę tu obwiniać mego dziadka.

Kochał swoją Stenię bardzo, ale...
 — Stenię? — zawołała Stefcia.

— Tak spieszczal jej imię i na jej pamiętkę pania tak samo nazywa. Pani podobno jest portretem tamtej. Ona była również pierwszą miłością, również wciśniana, chętną życiem i promieniejąca urodą. Posiadała świeżość uczuć, głęboką wiarę, miłość do świata i ludzi. Pokochała dziadka z całej du-

szy. Zaręczyli się, ale nieszczęście, stugłowe fatum, stanęło na ich drodze. Tu właśnie muszę oskarżać dziadka. Nie miał dość stanowczości, aby zwyciężyć przesady i zastarzałe pojęcia swej rodziny. Nie pozwolono mu ją pojąć za żonę tej, którą kochał, która ze wszech miar zasługiwała na to, która wreszcie była może więcej warta od niejednej protegowanej przez jego sferę i rodzinę. On chciał wprawdzie przełamać zapórę dzieląca go od szczęścia, ale walczył za krótko. Zagrożony wydziedziczeniem, pod groźbą niebłogosławieństwa uległ złej sile, nie mając odwagi stawić jej czoła do końca. Bardzo zacny i prawy, nie posiadał jednak dostatecznej siły woli. Brakło mu hartu, za słaby, zanadto ulegający wpływom miał charakter. Nie potrafił powiedzieć nieodwołalnie: „Ja chcę!” — miłość swą pozostawił w sercu, nie ujawniając jej w czynach. Fanatyzm sferowy spacył jego najdroższe uczucia, złamał dane słowo, może go nawet chwilowo przekonał; zaręczyny zostały zerwane, życie i serce biednej kobiety stargane na zawsze. Zaraz potem wysłano mego dziadka za granicę, aby tam zapomniał. Jakie sztyderstwo! Jaka ironia!... W Paryżu dziadek poznał Gabriellę de Bourbon i tak prababka moja, zaprzyjaźniona z domem księstwa, ułożyła z ojcem Gabrieli to małżeństwo. Księżniczka, zmęczona życiem, poddała się woli ojca. Dziadek, powodowany już nie wie czym, zgodził się również. Ślub odbył się w Rzymie, lecz młoda para kroku tego żałowała całe życie. Byli bardzo nieszczęśliwi. Oboje mieli serca wystygłe, gorzyc płynęła w ich żyłach. Oboje wyrzucali sobie chwilę zaślubin, dręczeni swe sumienia. Ona kochała do zgonu pamięć człowieka, który z jej powodu zginął, on stale nosił w sercu miłość tamtej i żal, że zwichnął jej szczęście. Nie było spokoju ani harmonii. Złośliwe fatum rzuciło na nich ciężką chmurę, wszelkie promyki światła płynącego ze świata rozjaśnić jej nie mogły. Pozostali w cieniu do końca. Ona niedługo żyła. Smutek, ciągła walka, nieskończona wewnętrzna rozterka podkopały wally organizm. Wkrótce rozwinęła się choroba sercowa i suchoty. Zmarła na południu w dość młodym wieku. Wówczas dziadek oddał ordynację memu ojcu, sam zamieszkał w Słodkowi-cach, dokoła w kilkanaście lat potem sprowadził owdowiłą ciotkę Idalię z małżonką Lucią.

Waldemar umilkł. Siedział z pochyloną głową i głęboką zmarszczką pomiędzy brwiami. Nagle wyprostował się, przeciągnął dłoń po czole i rzekł z westchnieniem:

— Teraz na innej planecie może znalazła spokój, daremnie szukawszy na ziemi.

— Czy pan ją pamięta? — spytała głucho Stefcia.

— Była moja chrześna matka, pamiętam ją trochę. Dużo opowiadała mi o niej babka Podhorecka, która bardzo ją kochała.

Spojrzał uważnie na Stefcię. Na jej rozpalone usta, wilgotne oczy, i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

— Zmęczyłem panią... prawda? Taka pani widocznie przejęta, nawet wzruszona.

Podniosła na niego oczy.
 — Żal mi ludzi, którzy się tak strasznie męczą, tak cierpią...
 — O tak! żal zawiedzionej nadziei i największego bogactwa na świecie — uczuć.

— Pan to pojmuje? — spytała Stefcia.

Zmarszczył brwi.
 — A pani wąpi?..
 — Myślałam, że... w pańskiej sferze nie nazywa się miłości bogactwem... że się je nie cenii...
 — Jednak dziadek Maciej cenil i pojmował miłość i moja babka również.
 — I oboje zmarowali ją — dokończyła Stefcia.

— To znowu co innego. Brakło im sił do zbudowania dla swojej miłości odpowiednich podstaw. Nie umieli ustawić jej na takim piedestale, z którego nikt stracić by jej nie potrafił. Niech pani wierzy jednak, że są wśród nas inni, o! być może gorsi od dziadka pod każdym względem, ale więcej energiczni, nawet uparci. Gdy ci zechcą dopiąć celu, złamią wszystko, pójdą przebojem, ale dopną go. Do takich ja się zaliczam. Mam tysiące wad, lecz posiadam niezłomną odporność na wszelkie złe siły. Przy tym, jak wszyscy Michorawscy, jestem trochę egoista, więc szczęścia nie pozwoliłbym sobie wydrzeć za nic i nikomu. Zgnieść by mnie nie zdołali; ja bym zgniół tych, co by się wazyli stanać ze mną do podobnej walki. Nie zastraszyłaby mnie groza wydziedziczenia ani przekleństwo. Jestem bezwzględny, dobrze! ale czuję w sobie potrzebę szczęścia innego, niż posiadam, i gdybym do niego dążył, nikt nie śmiałby stawić mi zapory!

Ordynat mówił z palającymi oczyma, z rozdętymi nozdrzami i zmarszczoną brwią. Jego szare źrenice zdawały się wtórować słowom, bila od nich wielka siła temperamentu, energia i wola nie znająca dla siebie żadnych granic.

Stefcia z odrzuconą głową i rozchyłonymi nieco ustami wpatrywała się z podziwem w jego męskie, wyraziste rysy. Imponował jej. Czula, że to, co mówi,